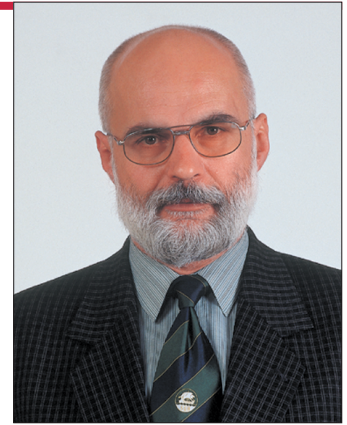


Dylematy studiów ekonomicznych

Rozmowa z prof. Markiem ROCKIM ze Szkoły Głównej Handlowej, senatorem RP



Jednym z największych osiągnięć III RP był niespotykany przedtem rozwój szkolnictwa wyższego. Warto przypomnieć jak od tego doszło, a także jaka była rola państwa.

Najważniejsze, że państwo nie przeszkadzało. Chociaż trzeba pamiętać o naprawdę rewelacyjnej ustawie z 1990 r., która była o wiele lepsza od obowiązującej obecnie i od nowych projektów kolejnej nowelizacji. Odpowiadała ona głoszonej wówczas, niepisanej zasadzie – *co nie jest zabronione, to jest dozwolone*. W 1990 r. okazało się, że gospodarka potrzebuje coraz to więcej ekonomistów, że ci, którzy mają inne wykształcenie, muszą uzupełnić je o wiedzę ekonomiczną. W uczelniach było natomiast wielu pracowników mających wiedzę i doświadczenie zdobyte za granicą, którego nie mogli w pełni wykorzystać w swoich szkołach. Obowiązujące wtedy prawo było na tyle sprzyjające, że już w pierwszym roku po przełomie powstało najpierw kilka, a potem, kilkanaście uczelni ekonomicznych. Potem dość szybko okazało się, że zorganizowanie szkoły to także biznes. I tak nastąpił *wysyp* uczelni niepaństwowych, przede wszystkim ekonomicznych, ale także innych specjalności, z wyjątkiem politechnik i akademii medycznych, gdzie konieczna jest odpowiednia, droga infrastruktura.

Czy wpłynęło to na sektor uczelni państwowych?

W pewnym sensie tak. Gdy rozeszła się wiadomość – nie wiem czy prawdziwa – że nasza szkoła ma być zlikwidowana, zrobiliśmy kilka radykalnych posunięć, zmieniających strukturę uczelni i sposób nauczania. Podstawową sprawą było wprowadzenie reguł rynkowych, tj. konkurencji między nauczycielami, a dla studentów możliwości wyboru wykładowcy. Taki sposób myślenia upowszechniał się nie tylko u nas i stopniowo powstawał szerszy rynek, dający także studentom możliwość wyboru uczelni. Obecnie uczelniami pierwszego wyboru dla przyszłych ekonomistów jest pięć państwowych akademii ekonomicznych oraz wydziały ekonomiczne na uniwersytetach. Drugi wybór to inne uczelnie państwowe, które oferują kierunki ekonomiczne, m.in. na politechnikach. Np. Politechnika Radomska ma na wydziale handlu więcej studentów niż cała SGH. Z tego regionu jest wielu kandydatów, dla których jest to rozwiązanie tańsze niż wyjazd do Warszawy lub innego miasta. Trzecim wyborem są studia zaoczne na uczelniach pierwszego typu, a czwartym takie studia na uczelniach drugiego typu. A dopiero potem studenci wybierają uczelnie prywatne. Nie twierdzę, że są one złe, ale są mniej rozpoznawalne i relatywnie najdroższe.

Ich podstawową bolączką jest brak dostatecznej liczby nauczycieli.

Zwiększyła się liczba uczelni, są 2 miliony studentów, a profesorów jest więcej o zaledwie kilkanaście procent.

Przy tym zmiany te były bardzo nierównomierne, zależne od specjalności i uczelni. Wzrosła także liczba studiujących zaocznie, np. w SGH było ich kilkuset, a teraz jest to połowa wszystkich, czyli ok. 5 tysięcy.

Studia zaoczne poszerzają szanse edukacyjne młodzieży i dają szkołom dochody, bo mogą być i są płatne, ale czy nie odbywa się to kosztem jakości nauczania?

Kiedyś korzystali z nich ludzie pracujący, pragnący uzupełnić wykształcenie. Po roku 1990 pojawili się maturzyści, którzy nie dostali się na studia dzienne. Ponieważ wydatki budżetowe na szkolnictwo wyższe rosną w tempie inflacji, a nie wraz z przyrostem liczby studentów, więc uczelnie musiały szukać innych źródeł pokrycia zwiększających się kosztów. Stąd rozwój płatnych studiów podyplomowych, doktoranckich i studiów zaocznych. A popyt był duży. Wreszcie, nie zapominajmy, że chcą także więcej zarabiać nauczyciele. To, że wielu studentów wybiera studia zaoczne, także w uczelniach prywatnych wynika także z tego, że część studentów to osoby pracujące na swe utrzymanie, a studia dzienne nie umożliwiają najczęściej łączenia studiów z pracą.

Motywacje są zresztą różne. Pamiętam, jak jeden z kandydatów napisał, że prowadzi interes typu *szczęki* na stadionie, szuka nowych możliwości rozwoju swej firmy, a do tego potrzebna mu jest wiedza. Inny przykład: przedstawiciel pracowników w radzie pracowniczej Petrochemii, magister chemii, potrzebował wiedzy ekonomicznej, aby lepiej wypełniać swoje obowiązki społeczne. Dlatego bardzo cenię studentów zaocznych.

Rozwojowi szkolnictwa wyższego towarzyszyły cały czas krytyczne dyskusje dotyczące poziomu nauczania. Były też podejmowane różne decyzje, np. w sprawie akredytacji, wprowadzania studiów dwustopniowych, odpłatności za studia itp. Co z tego wszystkiego wynikło?

Mimo tych działań jakość studiów, a zatem i absolwentów musiała się obniżać. To jest fakt, który można wyjaśnić następująco. W uczelniach państwowych są w miarę stabilne limity przyjęć. Na studia zaoczne szli na ogół ci, którzy nie dostali się na dzienne, bo byli słabiej przygotowani. Tak więc, ponieważ wzrastała liczba studentów, to przeciętny poziom absolwentów obniżał się. Ale za to poziom wykształcenia społeczeństwa jest wyższy, bo więcej osób kończy studia.

Czy te środki zaradcze, o które pytaliśmy, wpływały na jakość nauczania?

Na poziom minimalny tak, na poziom przeciętny nie, dlatego że akredytacje państwowe uczelni służą temu, aby „*dać prawo jazdy, dopuścić do ruchu*”. To gwarantuje minimalną ja-

kość, a nie jej podnoszenie, bo warunki akredytacji określają pewne minimum, np. niezbędną liczbę profesorów w uczelni. Ale wiąże się z tym jeszcze jedna sprawa, którą powinno się uwzględnić w noweli ustawy. Formalną akredytację należałoby zastąpić kontrolą tego, czy uczelnia spełnia warunki, które sama sobie określa. Przykład: w znanych mi uczelniach rachunkowości uczą księgowi z firm działających w tej miejscowości, wybitni fachowcy. Jest to z pewnością korzystne dla studiujących. Uczelnia powinna zatem deklorować, co będzie robiła dla studentów, a kontrolujący to sprawdzać. Byłaby to lepsza podstawa do oceny realnej wartości szkoły.

Dla niektórych uczelni zagrożeniem będzie niż demograficzny, gdy zmniejszy się liczba kandydatów na studia.

Będzie to jednak także okazja, aby dokonywać restrukturyzacji i obniżki kosztów. Niż powinien spowodować konsolidację uczelni, choć może być z tym kłopot, m.in. ze względu na różne osobiste ambicje, prestiż itp.

Czy otwarcie granic zmienia sytuację polskich uczelni?

Bardzo. Po pierwsze, dlatego że bardzo wielu polskich studentów już zarejestrowało się w szkołach za granicą, np. w Wielkiej Brytanii dwa razy więcej niż przed rokiem. Za granicą łatwo można uzyskać stypendia, bo wiele krajów ma kłopoty na rynku pracy i inwestuje w przyszłych fachowców. Część Polaków zarejestrowała się w uczelniach internetowych, bez wyjazdu z kraju, a ich dyplomy będą uznawane zgodnie z prawem UE.

Czy polskie szkoły sprostają tej konkurencji?

Dobre polskie uczelnie mają za sobą nie 5 czy 10, ale o wiele więcej, dziesiątki lat istnienia. Dołek demograficzny, który potrwa 10 – 12 lat zagraża głównie uczelniom młodym i małym, a nie tym dużym, ustabilizowanym. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo dla ich finansów, ale nie spowoduje ono upadku np. akademii ekonomicznych. Jest jeszcze jedno, dość istotne zagrożenie. Tylko w uczelniach ekonomicznych rektorzy są ekonomistami. W innych władzę sprawują lekarze, inżynierowie, artyści... Jeśli tak jest, to nie ma pewności, że władze akademickie mają jakiegokolwiek pojęcie o ekonomii. Byłem świadkiem, gdy senat jednej z takich uczelni uchwalił budżet z deficytem 6 mln zł, a na pytanie, kto będzie płacił odpowiedziano, że to kłopot ministra.

Niż demograficzny będzie sprzyjał restrukturyzacji i obniżaniu kosztów oraz trosce o jakość nauczania, w obliczu zaostrzającej się konkurencji. Może wprawdzie pojawić się dumping polegający na sprzedaży dyplomów, ale to może działać na krótką metę.

W sytuacji niżu demograficznego w ofercie uczelni mogą (powinny!) pojawić się oferty studiów podyplomowych. Warto dodać, że kontakt z uczelnią w jakiś czas po ukończeniu studiów jest standardem np. w USA. SGH idzie tą drogą i ma studia podyplomowe, ułatwiające zmianę zawodu np. dla bezrobotnych nauczycieli albo poszerzających wiedzę np. w dziedzinie bankowości. Zdarzają się i takie wypadki, że duża i bogata firma wykupuje wszystkie miejsca na interesującym ją kierunku dla swoich pracowników.

Czy nowe warunki powodują też inne zmiany, np. konsolidację uczelni niepaństwowych?

Co prawda, okres niżu demograficznego dopiero się rozpoczyna, ale trzeba jednak brać pod uwagę, że od 2005 r. obowiązuje nowa ustawa, która wymusza tworzenie stu-

diów dwustopniowych w uczelniach państwowych i zmienia strukturę całego szkolnictwa. Najostrzejsze konsekwencje sytuacji demograficznej szkoły odczują za 2 – 3 lata. Natomiast stworzenie studiów dwustopniowych oznacza, że szkoły państwowe będą miały otwartą ofertę dla absolwentów większości uczelni prywatnych na studia II stopnia.

Mam jednak zastrzeżenia do obowiązującej obecnie ustawy, co powinno być przedmiotem dyskusji m.in. na kongresie ekonomistów. Mianowicie, wprowadziła ona studia dwustopniowe, ale nie ma precyzyjnej definicji, czym one naprawdę są. Możliwe są bowiem różne konfiguracje. Np. czy studia II stopnia mogą być, tak jak amerykańskie, dostępne dla każdego kto posiada dowolne wykształcenie i uzyskuje wiedzę z zakresu ekonomii, czy mają one charakter uzupełniający studia I stopnia, tak jak dotychczas. To, że nie ma spójnego pomysłu, jak to ma być, jest ewidentnie widoczne w minimach programowych, które podpisał minister 12 lipca br.

Widać z tego, że uchwalenie ustawy nie kończy dyskusji...

Bo jest nad czym się zastanawiać. Obecnie to minister daje uczelniom programy nauczania. Określa minimum programowe, co dla większości będzie maksimum tego, co zechcą przekazać studiującym. Z tego wynika, że nie uczelnia odpowiada za jakość dyplomu, bo za programy odpowiada państwo. To minister określa, jakie są kierunki studiów. Moim zdaniem, jest to paradoks. Z jednej strony mamy system finansowania uczelni wyższych, a z drugiej system

▶ Wielu polskich studentów już zarejestrowało się w szkołach za granicą.

kreowania kierunków studiów. Budżet daje uczelni (państwowej) pieniądze i robi ona z nimi co chce, oczywiście przestrzegając przepisów. Nie sprawdza się racjonalności wydawania tych pieniędzy. Natomiast jeśli chodzi o programy nauczania, to kontrola jest pełna, np. ile było, ma być, godzin matematyki, wf itp.

Moim zdaniem, powinno być na odwrót. Pilnować należy wydawania każdej złotówki publicznej, a programy nauczania zostawić uczelniom. Niech senat powie, czego szkoła chce uczyć. W tym systemie, który obowiązuje obecnie, nie ma racjonalności, a dodatkowo jest to zagrożenie dla rynku, bo hamuje się innowacyjność. Uczelnie nie może wykreować nowego produktu, bo jest to zakazane. W tej sytuacji uczelnie omijają prawo. Przykład koronny, który podaje, to wydawanie dyplomu *inżyniera w zakresie zarządzania finansami banku*. Uczy tego wyższa Szkoła Agrobiznesu w Łomży, odpowiadając na zapotrzebowanie rynku. Przykładów jest więcej, bo kierunków ekonomicznych nie ma tylko w akademiach sztuk pięknych, mają je natomiast szkoły techniczne, pedagogiczne, morskie, wojskowe...

Szkoły wyższe powinny odpowiadać na zapotrzebowanie rynku. Powinien to uwzględnić system prawa – ułatwiać, a nie przeszkadzać. Jak? O tym trzeba jeszcze dyskutować m.in. na kongresie ekonomistów.

Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali
ADAM CYMER I MARCIN MAKOWIECKI